

GÓRA KWIRYNALSKA (*Monte Cavallo*) W RZYMIE.

POMNIKI RZYMU (*).

(Dalszy ciąg.)

Przybywających od północy do Rzymu, zadziwia widok miasta w nowym całkiem guście zbudowanego. Nie będzie nas to uderzać skoro dowiemy się że miejsce obecnie zamieszkałe, południowo-wschodnie, dotyka tylko strony północno-zachodniéj, która w czasach starożytnych była pełną życia i gmachów, a dzisiaj jest niemal pustém gruzowiskiem. Co było niegdyś miejscem igrzysk i przechadzek, dzisiaj jest zabudowane. Przestrzeń tylko między teatrem *Marcellusa* i mostem *Sisto* była zawsze mieszkalną; tam nawet schroniła się reszta mieszkańców, kiedy ludność świato-władnego miasta, klęskami i niedolą czasów zmniejszona do 20,000 głów w XIVtym wieku, pozbawioną została wszystkich wodociągów. Dopiéro kiedy Julius II. kazał powytykać ulice, kiedy Florentyni zabudowali się między mostem *Sisto* i mostem do zamku Ś. Anioła prowadzącym, okolica ta przyległa górze Kwirynalskiéj na letnią rezydencyą papieżów zajętéj, stała się siedliskiem modnego świata. Teraz największe życie objawia się na ulicy *Corso*, a plac Colonna jest główném ogniskiem teraźniejszego Rzymu, gdzie na giełdzie, w gmachach pocztowym, targowym i w sądowych załatwiają się codziennie interessa; ustępując z tego miejsca, we wszystkich kierunkach daje się postrzegać stopniowy ubyt przemysłowego życia.

Z placu *del Popolo* rozchodzą się znaczniejsze ulice w prostych kierunkach po całém mieście. Są one również piękne jak i te, na których cudzoziemcy wszystkich narodów, Rzym w czasie zimy napełniający, mieszkania obierają. *Corso* zajmuje sam środek i jest najznakomitszą ulicą nowego Rzymu; prowadzi do placu *Colonna*, gdzie stoi kolumna Antonina, unosząca obecnie wizerunek *Ś. Pawła apostoła*, równie jak na Trajańskiéj stoi posąg *Ś. Piotra apostoła*. Po prawéj stronie *Corso*, przy kościele *Miracoli*, poczyna się ulica *Ripetta*, idąca brzegiem Tybru; na lewo obok kościoła *Monte Santo*, idzie ulica *Babuino*, tworząca przystęp do placu *di Spagna*, w któréj główną ozdobą są piękne wschody prowadzące do kościoła Świętéj Trójcy. Tu wznosi się góra *Pincio*, przed wieki *Collis hortorium*, najulubieńsze i najrozkoszniejsze miejsce przechadzek stolicy, z letniemi mieszkaniami *Medicich* i *Ludovisich*, gdzie niegdyś Salustiusz, Lukullus i Domicyan mieli swoje ogrody. Z tego wzgórza widok przepyszny na wielką część miasta.

Na uboczu góry *Pincio*, znajdują się trzy bramy, *Porta pinciana*, *Salaria* i *Pia* zwane; ostatnia prowadzi na drogę do Tivoli; przy niéj to poczyna się piękna tegoż imienia ulica, która obok dawniejszych łazien Dioklecyana prowadzi do Kwirynalu, najwyższego z siedmiu wzgórzów. Zowią je pospolicie *Monte Cavallo*, od dwóch marmurowych posągów, które wyobrażają młodzieńców powściągających rumaki. Stały one niegdyś w łaźniach Konstantyna, i bez żadnych dowodów przypisywane są dłutom Fidiasza i Praxytelesa. Jakkolwiek bądź są to znakomite dzieła mistrzów greckich, równie pięknością kształtów jak i śmiałością postawy zadziwiające; kogo zaś istotnie wystawiają, niewiadomo; długi czas miano je za posągi Aleksandra Wielkiego i Bucefała; podobniéj zaś do prawdy że to są *Kastor* i *Pollux*. Pomiędzy nimi stoi egipski obelisk granitowy, przez *Piusa* IVgo wzniesiony, a jeden z licznych wodotrysków miasta, wyrzuca tu obficie swoje wodne promienie. Pałac Kwirynalski zbudowany w drugiéj połowie 16go wieku, nie jest ozdobnym. Służy za letnie pomieszkanie z przyczyny zdrowego powietrza; w nim także odbywa się *Conclave* czyli zgromadzenie kardynałów na wybór papieża.

Od *Monte Cavallo*, ozdobionego wielkim pałacem księcia Rospigliosi i ogrodem rodziny *Colonna*, otwierają się w różne strony najwspanialsze widoki, w które miasto tu i ówdzie po dolinach i wzgórzach rozłożone tak dalece obfituje. Na zachód stoi Watykan zgórującym nad wszystkie kopułą swoją kościołem świętego Piotra. Owe mnóstwo godnych podziwu przedmiotów, kościołów, pałaców, letnich pomieszkań, wytrysków, wodociągów, i ruin tak jest uderzającém i zdumiewającém, że musimy ograniczać się na kilku opisach, przechodząc bez porządku od jednego do drugiego z 14 cyrkułów miasta, *Rioni* zwanych, z których dwa *il Borgo* i *Zatybrzański Trastevere*, leżą na prawym brzegu, reszta zaś na lewym brzegu Tybru. Część południowo-wschodnia, jest prawie niezamieszkałą; widać tam w różnych stronach pojedyncze kościoły, klasztory, letnie mieszkania i domy obok licznych gruzów, zalegających górę Awentyńską, na któréj stoku miał swoją jaskinią *Cacus*, Celiuszowską i Eskwilińską aż do Palatyńskiego wzgórza, miejsca najpiérwéj osiedlonego. W téj części za okręgiem murów Serwiusa Tulliusa, były największe łaźnie Antonina, gdzie 3,000 osób razem kąpać się mogło, a których olbrzymie dotąd jeszcze trwające zwaliska mogą dać wyobrażenie o ich ogromie i przepychu. Pomiędzy wzgórzami Awentyńskim i Palatyńskim znajdował się Cyrk główny *Circus maximus*, urządzony dla 260,000 widzów, z którego mało znaczące tylko szczątki dotąd jeszcze istnieją. Najwspanialszym zaś

(*) Obacz Nr. 145 Magazynu Powszechnego.

i najbardziéj podziwiającym, jest *Amfiteatr Flawiański*, znany pod imieniem *Kolizeum*, zalegający przestrzeń pomiędzy trzema wspomnionemi wzgórzami. Szczęśliwszy od wielu innych ogromnych gmachów, jakkolwiek spustoszony różnego rodzaju wstrząśnieniami, ocalał jeszcze w znacznéj części od zagłady, a olbrzymie massy jego murów i rzędy wspaniałych arkad, stoją dotąd, jako zdumiewające po wszystkie czasy świadki zgasłéj wielkości Rzymu.

Żadne przecież miejsce nie obudza żywszego uczucia znikomości starożytnego blasku i potęgi Rzymu, jak *Campo Vaccino* czyli *Targ bydlęcy*, przedstawiony na dołączonéj tu rycinie.

Z gruzów i ziemi usypany pokład przywala dawniejsze *Forum*; a plac zbiorny dumnych niegdyś republikanów zamieniony jest na targowisko bydląt. Od czasu królów, aż do upadku Rzeczypospolitéj, owe *forum*, zwolna napełniało się różnego rodzaju budowlami i nowych przybierało ozdób; pod cesarzami w zupełnym zajaśniało blasku. W dziejach Rzymu znakomitą odgrywało rolę. Pisarze spółcześni, jakkolwiek piękny i obszerny, jednak niedokładny opis tego miejsca podali. Tu *Virginius* przebił pierś swojéj nadobnéj córki dla uwolnienia jéj od hańby. Tu Kurcyusz rzucił się w przepaść rozstąpionéj ziemi. Tu *Juliusz Cezar* świetne wyprawiał igrzyska i uroczystości. Z okazałych gmachów, świątyń, bram tryumfalnych, pomników i posągów, pozostały tylko pogruchotane wielkich wspomnień szczątki.

Z Kapitolińskiego wzgórza, najpiękniejszy otwiera się widok na całe *forum*, u stóp jego leżące, i na piękne klomby drzew po drodze *Via sacra* z jéj zwaliskami. Po lewéj stronie podnosi swoje czoło z zarośli olbrzymia, ciężka i bezgustowna brama tryumfalna cesarza *Septimiusza Sewera*; po prawéj kolumnada przybytku *Fortuny*. Daléj widać pojedyńczą kolumnę *Fokasa*, daléj znowu trzy koryntskie kolumny uważane powszechnie za szczątki świątyni *Jowisza Statora*, które zapewne należały do gmachu zbudowanego dla cudzoziemskich posłów, znajomego pod nazwiskiem *Graecostatis*, podobnie jak w Konstantynoplu, *Xenochodium Romanorum*, a *Eltschi-Khan* u turków. Wszędzie bowiem był zwyczaj mieszczenia posłów zagranicznych w domach rządowych, aby tym sposobem zapobiedz poróżnieniu ich z ludem, jak to w Chinach dotąd się dzieje.

Z innych przedmiotów, najgodniejszemi uwagi są trzy arkady świątyni *Pokoju*, nazwane także Konstantyńską Bazyliką, kościół świętéj Franciszki rzymskiéj, brama tryumfalna cesarza Tytusa, szczątki *Curiae Hostiliae* przez Augusta odbudowanéj i zwaliska na wzgórzu Palatyńskiém. W niezmiernéj i przerażającéj wielkości leży tu *Kolizeum*, a *Monte Cavo* zamyka ten nieporównany widok. Oprócz forum rzymskiego, miało jeszcze miasto wiele innych placów przez Augusta, Nerwę i Trajana, blisko siebie, między Kapitolium i Kwirinalem leżących. Szerokie wschody prowadzą do *Campidoglio*, samego ogniska Rzeczypospolitéj, pełnego wspomnień z najpiękniejszych czasów Rzymu. Widok wieży Kapitolińskiéj przechodzi wszystkie inne. Otwiera nam całą księgę starożytności; spojrzeć tylko na nią potrzeba, aby sobie bogatą przeszłość przedstawić. Każde z wielkich wspomnień tego miasta, inny gmach za swe siedlisko wybrało; dla Rzymu pod panowaniem królów jest Awentyn; dla Rzymu republikanckiego jest Kapitolium; dla Rzymu cesarskiego góra Palatyńska; dla Rzymu wreszcie chrześciańskiego samotny i cichy wznosi się Watykan.

Tak imie jako i postać swoję znacznie *Kapitolium* zmieniło. Już dzisiaj skała Tarpejska nie zdoła sprawiać tak mocnego jak niegdyś wrażenia. Najdoskonalszym i najsławniejszym pomnikiem jest konny posąg *Marka Aureliusza*, któremu nawet Buonaroti podziwienia swojego niemógł odmówić. Do pałacu senatorów, prowadzą piękne wschody tegoż mistrza. Muzeum zawiera w sobie niektóre najwspanialsze antyki dzieł rzeźbiarskich, między innemi *umierającego Szermierza*. W galeryi obrazów znajdujemy mnóstwo arcydzieł malarstwa. Jaką to wszystko miało postać w wiekach średnich, dostateczne możemy powziąść wyobrażenie z kronikarzy, opowiadających dzieje Henryka Luxemburskiego (koronowanego cesarzem 1312 r. w Lateranie). Pałac senatorów przetworzono na twierdzę, któréj bronili Neapolitańczycy, Florencyanie, Katalanie i t. d. przeciw Orsynim cesarzowi nieprzyjaźnym. Niżéj znajdował się obwarowany klasztor Franciszkanów i mieszkania znacznéj liczby szlachty, po większéj części wysokiemi baszty opatrzone, podług zwyczaju wszystkich miast Włoskich, gdzie nieraz zacięte toczyły się walki. Od Kapitolium aż do północno-wschodniéj strony wszystkie mieszkania do twierdz podobne były, a ulice zatarassowane. Zamiary mężnego cesarza spełzły prawie na niczém: wprawdzie po krwawym szturmie zdobył Kapitol, nie mógł się jednak przedrzeć do części miasta z drugiéj strony rzeki położonego, Leo zwanéj, gdzie książe Achajski Watykan i Mauzoleum Hadryana wojskiem obsadził. Wkrótce po koronacyi, cesarz opuścił nieszczęsne miasto i udał się do Tivoli.

Najświetniejsza epoka trybunatu Mikołaja Rienzi, męża, którego charakter był szcze-

gólną mieszaniną wielkości, pychy i lekkomyślności, raz jeszcze ożywiła Kapitol. Po dwukrotném burzliwém panowaniu, tenże sam lud, który on od przewładztwa dumnych baronów wybawić usiłował, w dniu 8 września 1354 na stopniach Kapitolu pozbawił go życia.



PAŁAC IBRAHIMA W KAHIRZE.

Nad Nilem, po drugiéj stronie Bulaku czyli portu w Kahirze, wznosi się obszerny pałac nieforemnéj i dziwacznéj budowy, wystawiony dla Ibrahima Baszy, syna vice-króla Egiptu. Od czasu zaś jego wyjazdu do Syryi, jest mieszkaniem licznego Haremu. Naprzeciw tegoż gmachu, leży rozkoszna i żyzna wyspa Rhoda, na któréj Ibrahim nowy kazał zbudować pałac. Na téj także wyspie biegły ogrodnik pan *Trait* z Anglii sprowadzony, znaczną część gruntu zamienił w zachwycający ogród, gdzie mnóstwo roślin europejskich i zwrotnikowych wybornie są pielęgnowane.

OSTATNIE PRZEMÓWIENIE DIDEROTA DO WOLTERA.

Kto czytał Pamiętniki Diderota wié, w jak rozmaitych przedmiotach probował on swojego nadzwyczajnego talentu, i pewno pamięta, że dla uniknienia ostatniéj nędzy, która mu zagrażała stłumieniem w saméj młodości, pisał i przedawał kazania. Jeden z missyonarzy zakupiwszy rękopisma tych kazań wziął je z sobą do Indyj, gdzie zaiste, nie mały miały wpływ na pozyskiwanie wyznawców dla kościoła katolickiego. Lecz te

owoce niewyczerpanéj płodności Diderota zaginęły dla literatury. Najpóźniejszy i najosobliwszy tego rodzaju utwór jego, także by zaginął, gdyby zdarzenie, które mamy tu opisać, nie było starannie dochowane przez oczewistego świadka; tym bowiem sposobem doszła potomności dziwna i nieulegająca wątpliwości improwizacya Diderota.

Roku 1776 w dniu 10tym lutego właściciel Fernejskiego zamku, Wolter, przybył do Paryża, aby bydź obecnym na przedstawieniach trajedyi „*Ireny*" téj ułomnéj i nieszczęśliwéj córki jego starości; a może też i dla tego aby w sercach Paryżanów ożywić ku sobie zapał, który, jak sam z żalem postrzegał, przez długą nieobecność jego w stolicy, znacznie był ostygł.

Nazajutrz po przybyciu Woltera do pałacu margrabiego *de Villette*, wiadomość o powrocie „wielkiego człowieka" rozbiegła się po całym Paryżu, z odgłosem wielce pochlebnym nieograniczonéj dumie starca. Naprzód odwiedzili go przyjaciele interessowani, potém obłudni nieprzyjaciele, przez kilka dni nadzwyczajny był zgiełk około domu margrabiego. Z ogromnemi herbami karety przesuwały się pomiędzy skromne remizy, a piechotni przybysze gubili się w tłumie ludzi i koni, zgromadzonych przy mieszkaniu znakomitego filozofa.

Nie upłynął wszakże miesiąc a ciekawość powszechna nasyciła się; turkot pojazdów, hałas i zwady służalców, rżenie koni, nie przerywały już spokojności słabego i drażliwego gościa pana *de Villette*. Cichość i milczenie zastąpiły miejsce zgiełkliwéj wrzawy. Wicher mody wziął inny kierunek, i uniósł w inną stronę lekkie umysły Paryżanów. Nazwisko utworcy Kandyda brzmiało oklaskami w tych tylko już salonach, gdzie przewodzili Encyklopedyści. Sam Wolter czuł się upadłym na siłach, chrząkał krwią; słabe rozdrażnione jego nerwy, jak zwykle u poety, w okropnym były stanie. Z tém wszystkiém, chociaż zaślepienie i duma nad nim górowały, wszelako przenikliwy jego dowcip łatwo dostrzegł, że odwiedzano go raczéj dla próżnéj i błahéj ciekawości, niż dla prawdziwego uwielbienia w nim geniuszu. Ckliwe i jednostajne pochlebstwa, któremi go osypywano, sprawiały mu odrazę; nie raz więc żałował spokojnego zacisza w Fernejskim zamku, i nieokrzesanych lecz szczerych hołdów włościan swojéj majętności.

Piérwszych dni marca, jednego z tych poranków o które słońce i deszcz zdają się walczyć z sobą, człowiek sześćdziesiątletni, czarno ubrany, wyszedł z domu margrabiego *de Villette*. Nim jednak zeszedł na ulicę nadbrzeżną, przezorny starzec uważał, czy nie lunie deszcz z nadchodzącéj wówczas chmury; potém, dość szybkim na swój wiek krokiem udał się ku *Pont-Neuf*. Ledwie uszedł dwadzieścia kroków, gdy starzec w czerwonéj aksamitnéj czapeczce, wyjrzawszy przez okno z domu pana *Villette* zawołał na niego głosem rozkazującym wprawdzie, ale nieco drżącym:

„Panie Dalambert! Panie Dalambert!"

Przechodzień, słysząc swe nazwisko stanął, spojrzał w górę i zaledwie mógł się wstrzymać od śmiechu, obaczywszy wykrzywioną twarz Woltera, podobniejszą do małpiéj niż do ludzkiéj wyzierającą z okna.

„Kochany Dalambercie! przyprowadź że mi Diderota. Czemuż dotąd go nie widać? Nie wstyd że mu zapominać dawnych przyjaciół."

Okno z trzaskiem się zamknęło, a przechodnie którzy ciekawi byli posłuchać téj rozmowy, postrzegli tylko znikającą czapeczkę starego filozofa, i czarne suknie akademika uchodzącego przed deszczem.

Tegoż dnia, o godzinie drugiéj po południu, Dalambert wszedł do mieszkania Diderota. Wprowadzono go do gabinetu, w którym Diderot zajmował szerokie krzesło, obite czerwonym adamaszkiem, z wyzłacanemi ćwiekami. Na starém mahoniowém biurku leżały pomięszane w nieładzie książki, rękopisma i ryciny. Wszystkie obrazy w pokoju zawieszone były krzywo. Kominek okurzony pyłem ze starych szpargałów, święcie szanowanych przez bibliomanów. Zwierciadło i wszystkie okna również przyćmione były kurzem. Trzewiki ze sprzążkami, i jasno-orzechowe krótkie spodnie, rozpostarte były na krześle, a na podłodze leżał ogromny foliant przełożony grubą trzciną w słoniową kość oprawną. Wymówny nieład panował w tym małym pokoju. Wszędzie widać było niedbalstwo i roztargnienie mędrca, który zastanawiał się nad wszystkiém, mniéj zważając na wygody własnego życia.

W tym zamęcie powoli i z poważną miną Diderot czytał ogromną księgę dzieł świętego Jana Złotoustego, którą jego ręce ledwie udźwignąć zdołały.

Dalambert zbliżywszy się i z lekka uderzywszy go po ramieniu, przywitał go słowy:

„Jak się masz kochany filozofie?"

Diderot otrząsnął się, lecz w zamyśleniu, zamiast przyzwoicie odpowiedzieć przyjacielowi, odrzekł:

„Filozofie? Cóż to ma znaczyć? Przystoiż mianować się nam filozofami, nam zgorszonym dzieciom zepsutego wieku? Filozofowie!..... jak gdyby cała filozofia, nie była już zawartą w tych oto starych księgach."

Dalambert znał dobrze spół-akademika, wiedział że wyobraźnia jego zbyt żywa i

zmienna często brała różne i sprzeczne kierunki; wiedział że ów niedowiarek modny, (bo wtedy modą było niczemu nie wierzyć) czasem nagle zapalał się religijnemi przedmiotami, na które potylekroć razy publicznie sam bluźnił. Nie zadziwiło więc to Dalamberta, wiedzącego, że Diderot zdolnym był unosić się nad dziełami, z których może wczoraj nierozmyślnie szydził; uśmiechnął się zatém gdy przyjaciel Diderot szukał chustki dla otarcia nieudanéj łzy, którą mu czytanie księgi pobożnéj wycisnęło.

Dalambert widząc w nadzwyczajném roztargnieniu Diderota, przysunąwszy krzesło usiadł przy nim.

Po kilku minutach Diderot się upamiętał, postrzegłszy, iż niedorzecznie przyjmuje gościa; obrócił się wreście ku niemu lecz jeszcze zadumany, i rzekł:

„Cóż kochany akademiku? Co nowego na tym świecie?“—Co nowego? odpowiedział Dalambert, ucieszony z ocknienia się Diderota; tyle nowego, że najpiérwszy z poetów, największy z filozofów, książe literatów, od miesiąca bawi w Paryżu, a ty!.... Słowem Wolter dziwi się i smuci, żeś go dotąd nieodwiedził.“

„A więc, zawołał z żywością Diderot, dobrze, pójdźmy do niego; czas już skruszyć tego złotego cielca!“

Dalambert nie zrozumiawszy znaczenia tych wyrazów, pomógł mu się ubrać i wnet udali się razem do Woltera. W drodze, Diderot z zapałem, ciągle powtarzał: „Filozof, śliczny filozof! pragnie zostać margrabią. Filozof, a bezsenność go trapi dla tego, że jest podobnie jak ja, plebejuszem.“

Te i tym podobne wyrazy, czyniły niespokojnym usłużnego pochlebcę Woltera. Lękał się Dalambert, aby Diderot nie popełnił jakiéj niedorzeczności; a gdy już nie podobna było wrócić, zaczął miarkować jego uniesienia i wszelkiemi sposobami uspokajać. A gdy mu się to nie powiodło, o kilka kroków od domu margrabiego *de Villette* zostawił Diderota, i poszedł powitać Condorceta, ku nim nadchodzącego. Tymczasem Diderot mruczący znowu powtórzył słowa: „skruszę więc tego cielca.“

Przed pałacem do którego miał wejść Diderot, stały dwie karety. Jedna wytworna z pysznemi herbami; okna jéj spuszczone dozwalały widzieć wewnętrzne kosztowne ozdoby. Pudło wybite było różową materyą, z srebrnemi listkami: poduszki powleczone aksamitem szkarłatnym, ze złotemi kutasami po rogach. Pojazd taki mógł tylko należeć do znakomitéj damy.

Przeciwnie, druga kareta była bardzo prosta, mocno zużywana, mogła bydź tylko własnością nieszczęśliwéj wdowy, jakiego skąpca lub doktora. Małego wzrostu woźnica, przewalający się na poszarzałym skórzanym koźle, poglądał zazdrośnie na upudrowanych, bogato ustrojonych i w białych rękawiczkach służalców, którzy stojąc przy dzielnych koniach piérwszéj karety, śmieli się całém gardłem.

Na to wszystko nie zwrócił uwagi Diderot, pominął ich nie podnosząc oczu, pobiegł na wschody; przy wejściu do pokojów, które zajmował Wolter, spotkała go pani *Denis* i przyjęła uprzejmie, wiedząc że jéj wuj cenił wielce przyjaźń Diderota, którego wymowa, niewyczerpany i uszczypliwy dowcip, często bywały mu niebezpieczne.

„Panie Diderot! Wuj mój rad będzie oglądać Pana—rzekła z przyjemnym uśmiechem—on pana bardzo lubi!

Jeszcze nieskończyła tych wyrazów, a Diderot był już u drzwi sypialnego pokoju Woltera.

„Wstrzymaj się Pan, zawołała Pani Denis: powinnam ostrzedz, iż wuj mój słaby i bardzo słaby, oraz że Pan *Trąszen* zabronił mu rozmawiać. Z resztą Pan *Trąszen* jest obecny, i sam Pana przestrzeże.“

Diderot spojrzał, z dziwnie komiczną miną, na siostrzenicę Woltera.

„Bądź Pani spokojną, odpowiedział, ja tylko będę prowadzić rozmowę; mam cós ciekawego powiedzieć Wujowi Pani.“

Otworzył więc drzwi sypialni, i wszedł.

Chociaż była dopiero trzecia po południu, jednak zasłony łóżka były już zapuszczone, dogorywająca lampa nocna stała na kominku, i słabym drżącym blaskiem oświecała pokój. Na szerokiém łożu, ozdobioném wspaniałą kotarą, leżał znakomity chory. Głowa jego spoczywała na poduszkach a kiedy niekiedy dobywały się z piersi westchnienia: „Ach! Och! jako odgłosy jego cierpień.

W sędziwym wieku mężczyzna, i dama nie zbyt podeszła, siedzieli przy łóżku. Ta, usiłowała uspokajać chorego względem stanu jego zdrowia, i rozweselać go, opowiadając z jakim zapałem i oklaskami przyjęto ostatnią jego sztukę na teatrze francuzkim. Tamten zaś nie mówiąc słowa, siedział posępny, podnosił i spuszczał oczy, a niekiedy tylko uderzał niecierpliwie trzciną, po podłodze. Był to wsławiony doktor *Trąszen*. Dama zaś była to hrabina *Dubarry*, niegdyś miłośnica Ludwika XV.

Diderot z poważną postawą wystąpił na środek pokoju, ukłonił się nielicznemu zgromadzeniu, spojrzał na smutny obraz, jaki wspaniałe łoże przedstawiało jego oczom, a potém, jakby natchniony tym widokiem, zawołał z zapałem:

„Witam wielkiego grzesznika, witam ostatniego poganina! — Przyszedłem w imieniu twych ofiar, w imieniu tych których pogrążyłeś w rozpustę, bydź świadkiem ostatnich twych cierpień i pożegnać się z tobą na wieki! — Życie twoje zgaśnie jak ten ogień, który już niknie, jak te światło, które już dogorywa. Słuchaj mię! noc wieczności zstępuje na twoją głowę, a zgiełk tego świata powoli obumiera w uszach twoich.....“

Tu się zatrzymał, i zdawało się, jakby się przysłuchiwał hurkotowi karety, przejeżdżającéj pod oknami. *Wolter* podniósł się, i usiadł jakby chcąc zawołać na służących. Pani *Dubarry* z podziwieniem i przestrachem poglądała na mowcę. *Trąszen* siedział nieporuszony. Diderot ciągnął daléj:

„Okrutny zwodzicielu! wiek który cię ubóstwiał, byłby srodze skarany przez Najwyższego Sędziego, jeśliby nikt ze spółczesnych twoich nie przypomniał ci, w godzinie śmierci, wszystkich praw jakie masz do ich nienawiści i pogardy. Nic że to z głębi téj komnaty ciemnéj i głuchéj, nie słyszysz? Azali jęki, łkania, i okrzyki rozpaczy do ciebie nie dochodzą? Azaliż te ściany, tak są nieprzenikliwe, że żadne przekleństwa, któremi ród ludzki obciąża zgubne twoje imie, tu się nie rozlegają i nie budzą ciebie jak sądna trąba?“

„Przybliżcie się, nieludzcy ojcowie, występne matki, i dzieci wyklęte przez rodziców! — Przybliż się opłakana tłuszczo istot skażonych, i osądzonych na wieczny żal i zgryzotę. Otrzyjcie na czas łzy wasze, umilknijcie na chwilę smutne i żałobne głosy, wiecznie opłakujące niewinny wiek młodociany! Stańcie tu o chrześcianie! oderwani od Boga i pozbawieni obiecanego wam wiecznego dziedzictwa; przybądźcie na moje wezwanie, wy którzyście jeszcze nie upadli, ale chyżemi już kroki zbliżacie się ku przepaści! Stawajcie tu, przychodźcie! przychodźcie!

„Otoczcie łoże umierającego! Oto wasz zapamiętały wróg, nagi i bezbronny. Zerwijcie z niego fałszywą koronę, którąście w chwili błędu włożyli na jego czoło, pokrzyżowane bezecnemi myślami. Odbierzcie mu sławę światową, którąście go okryli, ażeby zasłonić od waszych oczu nagość jego odrażającą.

„Przybliżcie się, zgromadźcie się koło śmiertelnego łoża jego; upadnijcie przed nim, składajcie mu dzięki zato, że on odebrał od was wiarę, zgasił najpiękniejsze wasze nadzieje, oddał dusze wasze na ofiarę rozkoszom ciał waszych; składajcie mu dzięki za to, że on was zgubił, zhańbił, skaził i oddał na wieczną mękę.“

W tém miejscu *Wolter* chciał krzyknąć, Pani *Dubarry* zbladła, a *Trąszen* zakrył twarz rękami.

„Lecz wszystko nie skończy się tu wraz z tobą, o wielki wrogu rodu ludzkiego! nowe pokolenie powstanie po zepsutém pokoleniu które zstępuje do grobu. Sieroty będą badać dzieje ojców swoich, a te im powiedzą: „Ojcowie wasi byli nieszczęśliwymi, a nieszczęścia ich przyczyną był Wolter.“ Naówczas przeklną twoją pamięć, zbudują pomnik odkupienia, a wizerunek twój będzie tam wystawiony i oddany przekleństwu; rozsypią prochy twoje na wiatr, i rzucą w ogień zgubne twe księgi, które uwiodły naszą pychę; zjednoczą imie twoje z imieniem twego wszechwładcy i będą mówić: *Szatan i Wolter!*“

„Ale czas upływa, spełniłem moją powinność. Teraz dworacy twoi, mogą zacząć swoje pochlebne pozdrowienia, i znowu palić kadzidła u stóp twoich. Niech ten lekarz stary i doświadczony usiluje ukryć przed tobą stan twój; niech ta skażona niewiasta, którą masz prawo dołączyć do tłumu twych ofiar, powtarza ci o sławie twéj, już na zawsze gasnącéj: lecz ja prawdę ci powiedziałem, ona już ci wiadoma. Żegnam! opuszczam cię. Wkrótce staniesz przed twoim sędzią, przed obliczem Boga, któregoś obrażał twojemi bluźnierstwy, i z którym się nakoniec spotkasz.“

Skończywszy mowę, Diderot się oddalił.

Wolter przerażony, wnet się uśmierzył; chciał się zaśmiać, lecz konwulsyjne wykrzywienie rysów twarzy nieutworzyło uśmiechu.

Trąszen wstał z powagą, powiedział słabemu do ucha kilka słów, podał hrabinie rękę, i wyszedł z nią z pokoju.

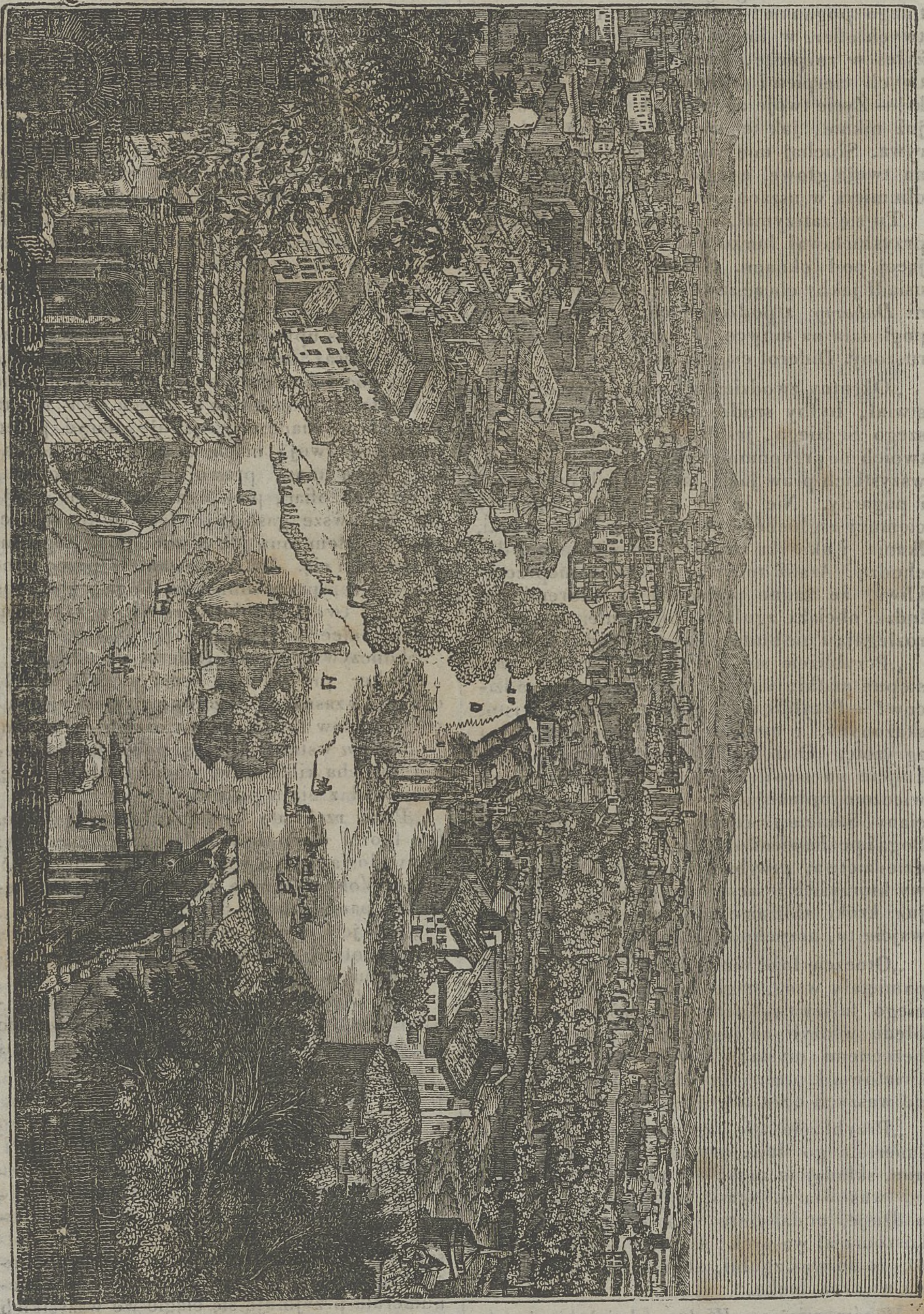
„Pani, rzekł do kochanki Ludwika XVgo, ten filozof nieco był nadęty, i pomięszany; ale w słowach jego wiele zawiera sie prawdy.“

„A Wolter! umrze ze strachu! odpowiedziała pani Dubarry.“

„Tak jest, umrze; za dwa dni skutek okaże, iż Diderot się nie omylił..... Wielkiego Człowieka już nie będzie na świecie.“

Pani *Dubarry*, zamyślona, wsiadła do pięknéj karety. *Trąszen* wsiadając także do swojéj, zawołał na woźnicę: „do domu! dziś nigdzie więcéj nie pojadę.“

UWIADOMIENIE LITERACKIE.



TARG BYDLĘCY (*Campo Vaccino*) W RZYMIE.

w Warszawie, w Drukarni J. Glücksberga, Księgarza Szkół Publicznych, Ulica Przejazd N. 619.